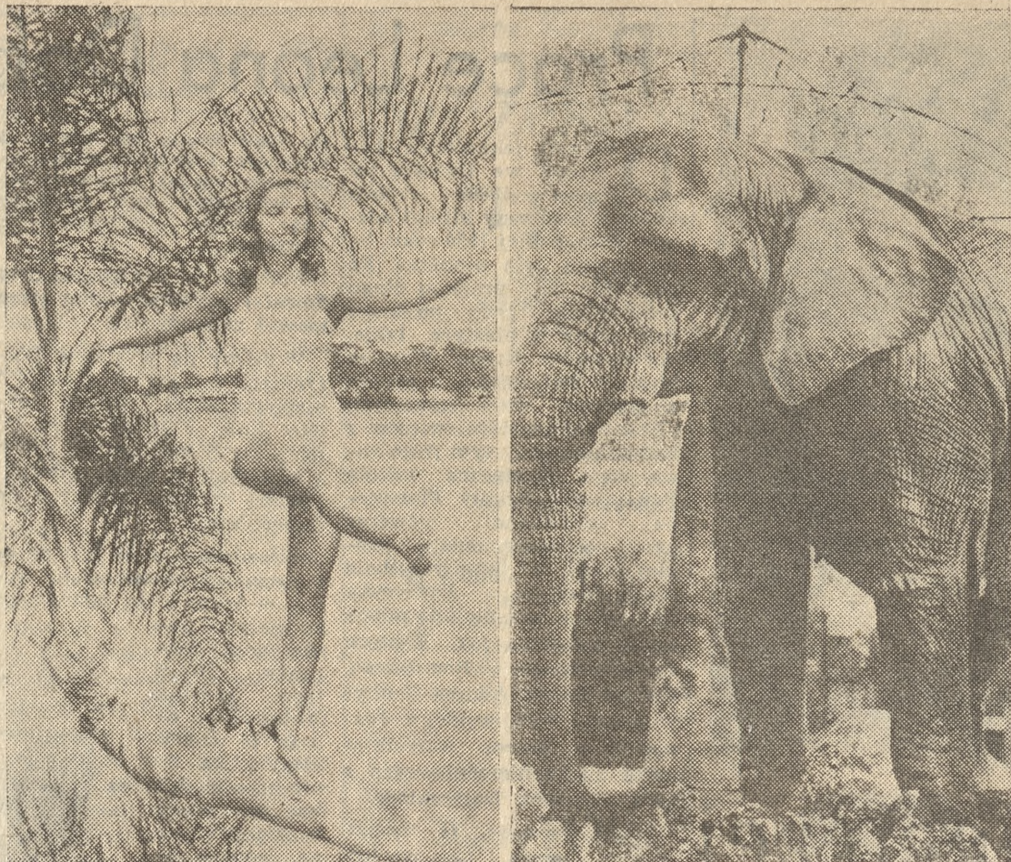




MISS I MISTER PUSZCZY

Redakcja „Nowego Świata” — Poznań
Przesyłam oryginalny list z Argentyny. Moja siostra otrzymała go od swej przyjaciółki, która wyjechała odwiedzić swego brata do Buenos Aires. Cieszyłam się, gdyby Redakcja mogła ten list wydrukować. Ewentualne zmiany i poprawki proszę poczynić.

Łączę uprzejme ukłony
Wanda Skoczyńska
Poznań

Kochana Pani Mario!
Mam nadzieję, że Pani wybaczy mi zwłokę. Z początkiem miałam „pełne ręce roboty” z bioganią po mieście, w klubach, w kawiarniach, kinach itd., a a potem rozchorowałam się — bolało mnie wszystko. Okazało się, że miałam zapalenie nerwów. Trwało to parę tygodni, teraz już dobrze.

W tej chwili piekielny upał. Dostawnie ogień sypie się z nieba. Całe szczęście, że mam w pokoju wentylator, inaczej nie mogłabym chyba pisać. Mimo wentylatora jednak, pot leje się ze mnie ciurkiem i jestem dosłownie przylepiona do krzesła, prócz upału bowiem, jest masa wilgoci w powietrzu i to jest najgorsze. Wyjadę nad morze na parę tygodni, a potem do Mendoza w górach. Brat twierdzi, że jest to konieczne, inaczej zwiabym zapewne do domu, bo w Buenos klimat jest najgorszy z całej Argentyny, a prawdziwe upały dopiero się zaczęły.

Jeśli Pani jeszcze wybrała się do brata, radzę stanowczo samolotem, linią lotniczą „Sas”. Miałam cudowną podróż, komfort nie z tej ziemi. Leciłam: Praga (gdzie przesiadłam się z polskiego samolotu na Sas), Genewa, Lizbona, Dakar, Resiw, Rio de Janeiro, Montevideo i Buenos Aires. Wszędzie godzina postoju — można było jeść i pić na koszt SAS. Najwygodniejsze lotnisko w Genewie, najbogatsze w Lizbonie, najciekawsze w Dakarze i w Rio de Janeiro. Jedynie Resiw jak knajpka na Ratajach, ale za to najlepsza była tam Coca-Cola.

Wyleciałam z Warszawy samolotem w sobotę wieczorem, a w nocy z niedzieli na poniedziałek z pokładu ujrzałam prawdziwe morze światła — było to już lotnisko w Buenos Aires. Brat oczekiwał mnie z samochodem. Rzuciliśmy się sobie w objęcia i witaliśmy się długo, bardzo długo po 18-letnim rozłączeniu.

Buenos — prześliczne miasto, bardzo dużo zieleni i kwiatów, a najprzyjemniejsze, że niewiele stosunkowo jest drapaczy. Domy przeważnie jedno- albo dwupiętrowe. Bardzo wiele domów budowanych na sposób hiszpański, to znaczy „patio” wzdłuż całego domu. Zrobiło to na mnie dziwne wrażenie. Wchodzi się z ulicy zwykłą bramą, domisko od zewnątrz nie ciekawego nie zapowiada, aż tu raptem otwiera się brama i wchodzi się do ślicznego ogrodu, pełnego kwiatów, z posadzką mozaikową, cudowną fontanną pośrodku, a dachem z winogron.

W ostatnią niedzielę byliśmy zaproszeni do rodziny hiszpańskiej, która właśnie posiada taki dom, niedaleko centrum miasta. Przemiłi ludzie, tylko „asado” smażone przy nas na ruszcie, moim zdaniem, obrzydliwe. Podane za to bardzo oryginalnie, bo na drewnianych deseczkach. Przez cały czas byłam w ogromnym strachu, że krew z owego „asada” spłynie na

obrus, ale dziwnym trafem nic podobnego się nie stało.

Argentyńczycy ustosunkowani są do Europejczyków (na rodowości nie bierze się pod uwagę) bardzo sympatycznie i mają w stosunku do nich coś

mięścia, gdzie nie ma chodników, jeżeli pada deszcz, to błoto gorsze niż w polskiej wsi. Byłam kiedyś podczas deszczu na takiej prowincji u znajomych i ślizgałam się jak z przeproszeniem krowa. Bywa też tak, że nie ma tam gazu i ludzie zmuszeni są gotować na prymusie.

Olbrzymia większość Polaków jest biedna. Milionerów zaledwie kilku, a zamożnych, do których mój brat należy, bardzo niewielu. Polonia tujsza nie podoba mi się. Są

taj zresztą wszyscy, żyją w getcie i tak się smażą we własnym sosie.

Żrą się tutaj wszystkie narodowości: Niemcy, Anglicy, Włosi, Francuzi itd., jest to więc zapewne wina klimatu. Nic wesołego ta cała emigracja. Zaraz jak tutaj przyjechałam, byłam na sejmiku. Tam dopiero sobie używali. Jeden drugiemu zarzucał prokominizm, gniewając się na „reżim” (tak nazywają obecną Polskę), co robiło wrażenie, jak by się chory gniewał na termometr. A „Dom Polski” wygląda jak pensjonat, bo jest brudny, odrapany i przeraźliwie zimny. Jest też tam ogródek. Byłam tam kiedyś na potańcówce i czułam się jak w małym gaju. Ja pewno bardzo zboljšewiczałam, bo nie mogę, ani rusz, nabrać odpowiedniego szacunku dla tutejszych „ministrów pełnomocnych” i innych „dygnitarzy”. Robi to na mnie wrażenie operetki.

Ale jeszcze większą operetkę widziałam na balu kadetów rosyjskiej emigracji, gdzie dla ciekawości poszłam z jedną Rosjanką „Kadeci” w mundurach uroczystych, wypływających, panie w jakichś cudacznych sukniach i rzewnych etolach, mocno nadzszarpniętych zębem czasu. Najmłodszy „kadet” miał chyba z 70 lat. Odbywało się to w klubie angielskim i wyglądało jak bal w domu wariatów. Było tam też kilku Anglików i myślę, że jeżeli nie uciekli ze strachu, to chyba dlatego, że byli na własnych śmieciach...

Byłam też w klubie kombatanów (polskim). Obstąpili mnie i wypytawali jak jest w Polsce. Nie wierzyli mi i widziałam po minach, że uważają mnie za komunistkę, bo oni chętnie szukają rzeczy złych, natomiast nie wierzą w dobre strony. Najgorsze, iż prawie wszystkim wydaje się, że są emigracją polityczną i wyobrażają sobie powrót do Polski takiej jaka była przed wojną z Włoniawą, Beckiem itd. Wy-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Aleksander Woiciechowski

ETIUDA w B-MOLL

Wróciłem z koncertu. Rzecz zwyczajna. Nie wspominałbym tego powrotu, gdyby nie skutki. Może trochę przesadzam. Sądzę jednak, a raczej — patrząc na to wydarzenie przez szkiełko minionych lat — wierzę, że ten właśnie powrót był początkiem wszystkiego. Nie tylko. Był jednocześnie i końcem. Zapomniałem dodać, że nie wróciłem sam. To było coś, co potrafi zmęczyć bardziej niż jakakolwiek ciężka praca. Wróciłem z fragmentem melodii zasłyszanej na koncercie. Do dzisiaj nie wiem, jaka to melodia. Na muzyce się nie znam. Lubię ją tylko i to może nawet za bardzo. Wśród kręgu moich znajomych nie było nikogo, kto potrafiłby mi coś o tej melodii powiedzieć. Mogłem przed koncertem kupić program. Nie myślałem, że właśnie tak się sprawy potoczą. Nie kupiłem — a potem było już za późno. Najgorsze, że pamiętając zupełnie wyraźnie melodię, nie potrafiłem jej odtworzyć. Próbowałem śpiewać, gwizdać. Nic.

Była właśnie sobota. Gospodyni, u której mieszkalem przy gotowywała zawsze na ten dzień kąpiel. W mieszkaniu, oprócz gospodarzy, mieszkała jeszcze jedna rodzina. W sobotę każdy miał ściśle wyznaczoną godzinę kąpieli. Ja, jako samotny, kąpałem się prawie zawsze gdzieś około północy.

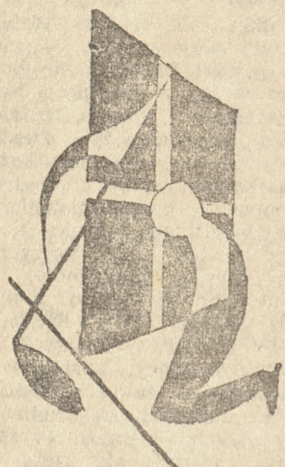
Jedząc kolację usiłowałem po cichu zanucić melodię. Nic. Zawsze coś innego. Później w łazience — to samo. Kiedy już zgasiałem światło i położyłem się do łóżka, myślałem, że może fioletowy mrok, sączący się przez szyby pomoże mi znaleźć właściwe tony. Przewracałem się z boku na bok, nie mogłem zasnąć. Czułem się bardzo nieszcześliwy. To śmieszne, żeby przy okazji jakiejś głupiej melodijki, jakiegoś małego, nie znaczącego fragmentu, mówić o szczęściu. Ale ja naprawdę czułem się nieszcześliwy. Słyszałem tę melodię. Byłem zupełnie blisko niej. A jednocześnie czułem, że lada chwila mogę ją bezpowrotnie zgubić w tylu innych.

Nie wiem, kiedy zasnąłem. Gdy obudziłem się, nie pamiętałem o wczorajszym zmartwieciu. Niedzieli nigdy nie darzyłem szczególnym sentymentem. Miała zawsze zbyt wiele pustych godzin. Obiad zjadałem w byle jakiej restauracji, a po obiedzie wracałem do domu i kładłem się na łóżko. Leżałem, patrzyłem w zabrudzony sufit. Myślałem wtedy o wszystkim i o niczym. Kiedy w pokoju zaczynało mrocznieć, wstawałem. Podchodziłem do okna i patrzyłem, jak w odległych o kilkaset metrów blokach mieszkalnych zapalają się światła. Takie były niedziele.

Wtedy akurat padało. Wróciłem z niedzielnej wędrowki trochę zmoczony. Zdejmując

piasek zacząłem gwizdać. Wydawało się to bardzo znajome. Tak. To była ta melodia.

Od tego dnia wszystko się zmieniło. Mieszkanie, otoczenie, praca. Tylko tych kilka ślaktów — być może zniekształconych nieco — przebrwało. Czytałem kiedyś, że muzyka trwa wiecznie. Autor chyba nie pomylił się, chociaż może z tą wiecznością trochę przesadził... Myślał: jak długo, jak trwa życie, — a napisał: wiecz nie. Zresztą, co to za różnica? Dla mnie wieczność zaczęła się z chwilą narodzin, a skończyła się śmiercią. Ale nie o tych rzeczach chciałem pisać. Śmierć, to taki ponury temat. Ja wolę życie. Nawet takie, jak teraz: śniadanie przynosi do łóżka, jak jest pogoda, to można przed obiadem wyjść na spacer do parku... Ja nie wychodzę. Przyszwyczałem się do tych czterech białych ścian.



Czuje się tu najpewniej. Potrafię sobie stworzyć takie otoczenie, jakie chcę. Nie szkodzi, że tylko w wyobraźni. Tak jest dobrze. Jak w ową niedzielę, kiedy udało się zanucić tę melodię. Czasem wydaje mi się, że co dzień jest niedziela. Ale już inna. Potrafię sobie wypełnić te białe godziny. Dzisiaj dziwię się, że wówczas nie starczyło siły. Przecież to tak nietrudno. Trzeba tylko znaleźć coś, w co się uwierzy. To wcale nie musi być jakaś wielka rzecz: dogmaty, celebracje. Nie. Trzeba wierzyć w rzeczy codzienne, w małe rzeczy.

Tyle napisałem o tej melodii. Ona sama nie jest ważna. Ona przypomina tylko moją wiarę. Jeden człowiek, zgubiony tak jak ja, wśród tylu innych. Ten człowiek — jego poczynania, jego troski i smutki, uśmiechy i radości — to obiekt mojej małej wiary.

Mieliśmy tyle wspólnych marzeń. Czuliśmy, że jesteśmy sobie bardzo potrzebni. Wydarzenia przechodziły obok nas, prawie nie zauważane. Stworzyliśmy sobie mały świat, do którego nikt obcy nie miał dostępu. Potrafiłmy czynić rzeczy niemożliwe. A najważniejsze — nie byliśmy już sami. Jeżeli nie siedzieliśmy obok siebie trzymając się za ręce, to na pewno myśleliśmy o sobie... Zdaje się, że to było wczoraj...

Czuje się trochę zmęczony. Może po kolacji będę pisał dalej...

*

W aktach szpitala zachowała się kartka z następującą treścią:

„Pani Małgorzata Rajska, Poznań. Uprzejmie zawiadamiamy, że dnia 10 bm. zmarła (tu następuje nazwisko). Prosimy uprzejmie o skontaktowanie się z nami, celem odebrania pozostałych po zmarłym rzeczy.”

Dyrektor szpitala”.



TEATR BEZ GWIAZD (czytaj str. 2)

TEATR bez GWIAZD

czyli o scenie dziecięcej

Do teatru dziecięcego nie można przykładać miar stosowanych do teatru zawodowego. Należy w nim raczej zwrócić uwagę na sumę włożonej, rzetelnej pracy oraz na ogólny efekt. A pod tymi względami zespół Wandy Wielgoszowej*) odniósł pełny sukces. To, cośmy widzieli, było widowiskiem — nie było jakim! Składało się bowiem w 3/4 z produkcji baletowych, w których wzięło udział przeszło 50 dzieci. Aby dać tym choreograficznym kompozycjom odpowiednią oprawę, uszyto niezmiernym wysiłkiem, dzięki pomocy matek, 113 nowych, pomysłowych kostiumów, a wystawiono je wśród pięknych dekoracji Cz. Kowalskiego. Ten żwawo pląsający tłumik dziecięcy, kosmaty i nieopierzony, ale pełen wdzięku i miękkości, o ruchach porwistych i niesprecyzowanych jeszcze, ale ujęty w karby rytmu — raduje oczy świeżością i tą tajemniczą, a zawsze pasjonującą „zapowiedzią”.

Można więc pogratulować pani Wielgoszowej z pełnym przekonaniem, a także podziękować za poświęcenie się i oddanie zespołowi, który stworzyła i z którego już tyle umiejętności i wdzięku wyrzeszała (co zresztą i o dzieciach najlepiej świadczy).

A teraz punkt drugi: Czy teatr dziecięcy jest potrzebny i jak wyglądać powinien? Po przeprowadzeniu kilku rozmów z pedagogami i kierownictwem Młodzieżowego Domu Kultury, nasunęło mi się parę myśli, z którymi chciałabym się podzielić na łamach „Nowego Świata”.

Nasza pedagogika znalazła się na rozdrożu i często nie wie, jak podjąć narastające zadanie. Konieczne jest więc udzielenie jej pomocy w wypełnianiu podstawowych jej postulatów. Jednym zaś z nich jest bezsprzecznie budzenie zainteresowań dziecka i stworzenie mu okazji do wyrażenia się poza godzinami szkolnymi w kształcącym i twórczym działaniu. Z tego punktu widzenia dużą rolę spełnia M. D. K., który w swoich kilkunastu pracowniach rzemieślniczych i artystycznych, kółkach samokształceniowych i zespołach scenicznych — prowadzi grupy dziecięce formujące się samorzutnie i bez najmniejszego przymusu, a pod okiem kwalifikowanych instruktorów. Dziecko samo wybiera kierunek, który wskazuje mu jego zdolność, a osiągnięte rezultaty zachęcają je do dalszych wysiłków. Na tę ważną stronę budzenia zainteresowań dziecka kładli wagę najwięksi pedagodzy świata: Montessori, Decroly, Makarenko i inni.

M. D. K. spełniłby to zadanie, gdyby nie jedno zasadnicze „ale”. Otóż zasięgami swoimi objąć może zaledwie drobny ułamek młodzieży szkolnej. A gdzie ma się podziać reszta? Gdybyśmy mieli tyle szkół, ile ich mieć powinniśmy, i tak wyposażonych jak należy, i tylu nauczycieli ile by one potrzebowały, wówczas każda szkoła mogłaby prowadzić i zajęcia pozaszkolne i dostarczyć dzieciom wszystkiego, czego wymaga ich budząca się osobowość. Ale ponieważ daleko nam do tego ideału, musimy wysiłkiem społeczeństwa wspomagać te wszystkie akcje, które zmierzają do opieki nad dzieckiem poza szkołą, do ujęcia w ramy ich młodej, szukającej

ujęcia — witalności. A taką akcją jest bezsprzecznie teatr dziecięcy.

Jakiż zaś ma być ten teatr, aby zadaniu najlepiej odpowiadał?

Może ustalmy najprzód, jakim być nie powinien.

Przede wszystkim: nie powinien nigdy przybierać form stałego, zawodowego teatru, nie powinien angażować aktorów zawodowych do występowania na scenie razem z dziećmi, nie powinien mieć materialnych korzyści na oku i w końcu nie powinien sprzyjać „gwiazdorstwu”.

Natomiast winien wyrastać w liczne zespoły, które w miarę ustępowania „u góry” starszych dzieci — odnawiałyby się nieustannie „od dołu” zastępowani młodszymi. Ciężar gatunkowy pracy i jej walor pedagogiczny spoczywa przede wszystkim na próbach i wysiłkach przygotowawczych, a wystąpienie publiczne jest tylko ich ukoronowaniem i jakby nagrodą. Do pomocy w montowaniu dekoracji i kostiumów powinny być dopuszczone dzieci ze specjalnych zespołów rzemieślniczo-artystycznych, tak, aby jeszcze bardziej uwypuklił się charakter imprezy czysto dziecięcej.

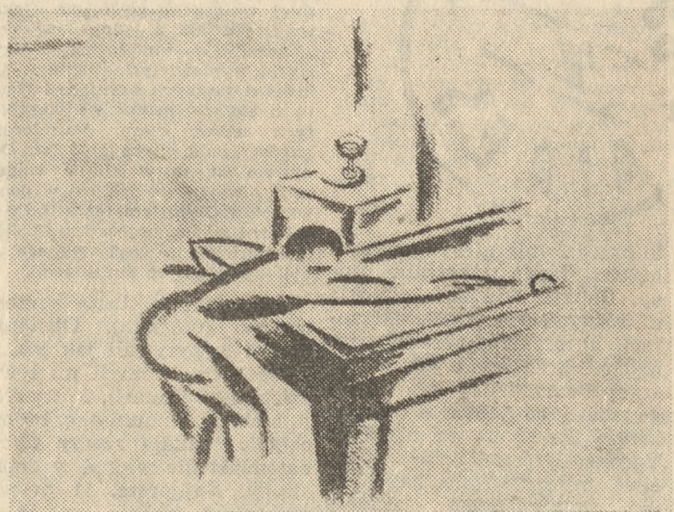
Chodzi o to, aby skupić wysiłki wielu zespołów dziecięcych: szkolnych, świetlicowych, związkowych itp. — wprowadzając wśród nich zderzenie emulacji — na jednej odpowiedniej scenie. Dać im wspólne zaplecze, wspólny magazyn rekwizytów, wspólny, koordynacyjny pion. Nie może tak być, jak było przez 2 lata, że zespół przy PWRN pod kierownictwem p. Wielgoszowej płacił bajątkowe sumy za najem sali Teatru Polskiego, a sum tych pokryć nie mógł ceną biletów. Dziecięcy teatr powinien mieć swoją własną scenę.

Do takiej sali Teatru Dziecięcego, oddanej pod opiekę i kierownictwo M. D. K., miałyby dostęp bez różnicy wszystkie pracujące w mieście zespoły dziecięce. W tym znaczeniu byłaby ona uzupełnieniem i dalszym ciągiem pracy M. D. K.

Czy jednak wobec piętrzących się wszędzie trudności finansowych, sprawa ta nie jest raczej beznadziejna?

Przede wszystkim nie musi być od razu gmach teatralny, budowany od fundamentów. Celowi temu posłużyć by mogła tymczasem choćby jedna z tak licznych w mieście, a tak mało realnie wykorzystanych świetlic. Nie wymagamy pałaców, można i szopę zaadaptować i ogrzać, byle dać tej dzieciarni łobuzującej często po ulicach — pole działania, pole popisu.

Apel ten kieruję do czynników najbardziej kompetentnego, mianowicie do Wydziału Kultury przy P. M. R. N. i do naszych radnych od spraw kultury i wychowania. Potrzebującej dobrej troski i opieki świetlicy, przebiegającej z złością. Pomysłcie, co dało by się zrobić prędko, niebiurokratycznie, a z pożytkiem dla naszych dzieci.



„Bilardzista”



Reportaż ten tylko tyle z koleją ma wspólne, że rzecz cała zdarzyła się w pociągu. Data: noc z 6 na 7 kwietnia.

Pierwszy dzień świąt, w pociągu luźno.

Było sennie i świątecznie. Ta świąteczna

atmosfera ogarnęła widocznie nawet konduktora, bo minęła już druga godzina jazdy, a on nie zjawił się, by sprawdzić bilety.

Przez uchylone drzwi, sąsiadującego z moim przedziałem, widziałem dwie kobiety. Jedną z nich, młodszą (mogła mieć najwyżej 20 lat), spotkałem w dworcu w Warszawie; żegnała się z matką. Druga była starsza, grubo starsza od tamtej.

Młoda, położyła na siedzeniu, czytała książkę. Była ładna, bardzo ładna.

Więc stałem w korytarzu i myślałem, a było o czym myśleć. Wracałem z nieudanej wyprawy i zastanawiałem się, jak wytłumaczyć w redakcji nie napisany reportaż. Takie rozmyślanie nie nastrajało wesoło nawet w świąteczny dzień.

I wtedy właśnie — zjawił się mój bohater. Oczywiście nie wiedziałem

jeszcze, że będzie on moim bohaterem.

Ubrany był w elegancki, niebiesko-szary garnitur, miał na sobie diabli wiedzą dla czego czerwony krawat w zielone paski. Taki modny krawat.

Szedł wzdłuż korytarza, zaglądając do przedziałów. Mijając mnie, powiedział: „bardzo pana przepraszam” i zajął do sąsiadki. Zauważył dziewczynę czytającą książkę i widocznie był to dlań widok nader zajmujący, gdyż zatrzymał się na chwilę.

Chwilę staliśmy w milczeniu. Potem obaj jednocześnie ruszyliśmy do przedziałów. Ja do swojego, on — do dziewczyny.

Nie zamykałem drzwi za sobą. Zgasilem światło, przysunąłem oczy i zapadłem w drzemkę.

Musiło minąć pół godziny, kiedy usłyszałem głosy dobiegające z korytarza. Spojrzałem. Ładna dziewczyna i mój bohater stali przy oknie.

— No, niechże pani powie, jak pani imię?

— Czy to panu naprawdę potrzebne?

Prace Leona Dołżyckiego

Dołżycki, jakkolwiek urodzony we Lwowie (w roku 1888) szybko wrosł w ówczesny klimat kultury poznańskiej 1920 roku, bo też chwila była osobiwa. Po pogromie buty pruskiej długo kneblowane pędy polskości dały plony w plastyce takie, jak wystawa „Buntu” Wronieckiego i Kubickiego, a przede wszystkim w szumiących „Zdrojach” braci Hulewiczów z Kościanek. Poza tym rosło nowe życie plastyczne wokół Państwowej Szkoły Plastycznej, kierowanej wówczas przez postimpresjonistę wysokiej klasy, o temperamentie niezmierzonym, Fryderyka Pautscha z całą plejadą młodszych malarzy, jak Wiktora Gosienieckiego, Roguskiego, Elstera, Lama, Adama Hannyt kiewicza, Walkowskiego, Jasnoch, a przede wszystkim może najwspółczesniejszego z nich — Leona Dołżyckiego.

Trzeba zaznaczyć, że Hannyt kiewicz, Jasnoch i Lam nie byli wykładowcami tej szkoły. Brat Dołżyckiego był dyrygentem wówczas na najwyższym stopniu stojącej w skali ogólnopolskiej Opery Poznańskiej, kierowanej przez pól-Włocha Valerociatę. Tutaj też w Operze zabyliśmy pierwszy raz scenograficzne dzieła Dołżyckiego do „Cyrulika”, „Pajaców” i „Aidy”, o których to dziełach recenzenci dotychczas jakby zupełnie zapomnieli. Dołżycki przyjechał z zagranicy do Poznania, tak jak sławny Henryk Opieński. Krytykami „Dziennika Poznańskiego” byli wówczas Józef Winiewicz, dzisiejszy minister i prof. farmacji w UAM im. Mickiewicza w Poznaniu dr Leszczyński, obydwoj o głębokiej kulturze literackiej. Brat Leszczyńskiego, krytyka, przyjaciel Witkacego, który do Poznania często przyjeżdżał (sportretowany przez Leona Dołżyckiego w obrazie nr 68) był znakomitym dyrygentem Opery katowickiej, Dział kultury i sztuki w „Kurierze Poznańskim” prowadził Witold Noskowski, literackim kierownikiem w teatrze był Emil Zegadłowicz. W takiej to atmosferze, której pozazdrościć mogą

głównie miasta jak Kraków i Warszawa, święty tryumf prapremiery Feliksa Nowowiejskiego, dyrygowanego przez młodzieńczego wówczas Zygmunta Latoszewskiego.

Dołżycki w tym gronie przodował i pędził swoim szturmować gwiazdy.

Widzimy na wystawie Dołżyckiego własną oryginalną i niepowtarzalną, śmiałą paletę: fiolet z kobaltem na tle terry de Sieny, ugry i zieleń z błękitem, w końcu stemperowaną czernią, żeniących się szczęśliwie.

Bilardzista nr 56 jest do ostateczności zredukowaną formą, widzimy kulę, bilard i tył ko niejakiego „zaczynanie” kierunku. Drugi tego rodzaju fantastyczny obraz to „Żalobnica”: kilka linii kozetki, kilka linii osoby w żałobie i czarne, smutne oczy. C’est tout! Ale jak uderza ją!

1917 organizuje Dołżycki wystawę czarno-białą; uwielbia mistrza nad mistrzów tego kierunku, Vallo-tona. 1934 wystawia za granicą i otrzymuje odznaczenia na Biennale Weneckim, co było dużym triumfem grupy polskiej, przede wszystkim po długim bojkotowaniu sztuki Dołżyckiego w kraju.

Dużo płócien Dołżyckiego poginęło, czy to w czasie Powstania Warszawskiego, czy też w muzeach polskich w Łodzi i Bydgoszczy itd. Portret syna (1925 nr 10) pokazuje mistrza znowu z zupełnie innej strony; zawsze żywy, zawsze nowy, zawsze mocny, plastyczny. W okresie 1926—32 Dołżycki pracuje w Stowarzyszeniu „Plastyka” w Poznaniu, gdy poprowadził Związek Malarzy „Świt” chwalebnie zakończył swój żywot.

W czasie podróży po świecie, do którego temperament cygański zawsze go ciągnął, nie znośił parafianstczyzny za żadną cenę, włóczył się po takich miastach jak Berlin, Wiedeń, Drezno, Monachium i takich krajach, jak Francja. Do kraju wracał zawsze wzbogacony. A we wszystkich tych podróżach pozostaje dla niego — poza ukochanym Holendrów i szkoły weneckiej — pierwszą gwiazdą niedoścignioną Cézanne, do którego wędruje pobożnie jak Mahometa do Mekki. W każdym bądź razie Dołżycki, czy zbliz-

żony do Kapistów, czy też do szkoły prof. Pankiewicza w Paryżu, idzie zawsze swoją własną drogą, malarz z kręgosłupem malarskim.

I w końcu, w okresie, gdy przeniósł się na Śląsk (w obrazie Pijący rok 1956) albo z motywem znad morza polskiego (Przystań rybacka w Orłowie rok 1957) — widzimy Dołżyckiego zawsze na najwyższym poziomie plastycznym, mocnym w formie i kompozycji, niemniej z swoją pasjonowaną kolorystyką, próbuje wydosłać najwyższą siłę farb,



„Żalobnica”

tak jak to czynił tytan farby świetlistej i słońca — Van Gogh.

Ta wystawa „Odwachu” z pewnością zasługuje na uwagę kulturalnej publiczności.

Kazimierz MAYER

NOWE KSIĄŻKI

Książka Jarosława Maciejewskiego „Gdy gościł w Wielkopolsce” omawia jeden z najważniejszych okresów w życiu Mickiewicza, mianowicie lata 1831—32, w których poeta przebywał w Wielkopolsce. Książka z pewnością zaciekaży wszystkich tych, których interesuje życie wielkich ludzi i jego wpływ na ich dzieła.

„W kregu Nibelungów” Al. Rogalskiego, znanego publicysty specjalizującego się w zagadnieniach niemieckich, jest książką poświęconą trzem zagadnieniom: omówieniu źródeł hitlerizmu i jego kształtowaniu się, sprawie katolicyzmu w Niemczech oraz problemowi ruchu rewizjonistycznego w NRF. Publikacja ta, oparta na wielu materiałach źródłowych, należy do jednej z nielicznych tego typu w Polsce.

Obie książki ukażą się wkrótce nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

luja. Wszedłem, to ona była czerwona jak... jak — szukał odpowiedniego określenia — jak jego krawiat!

— Kto tam jest? — zapytałem niezbyt dyskretnie.

— Taka ładna i pan w niebieskim garniturze. Ja jego to nawet widuję, on tu często jeździ — informował konduktor.

Pociąg stał na stacji w Poznaniu. Mój bohater, ubrany w płaszcz, wysiadł przede mną. Dziewczyna z przedziału nie było, może jechała do Szczecina?

Była za to inna dziewczyna. I też ładna. Podbiegła do mojego bohatera, rzuciła mu się na szyję. On obejmował ją, całował, szeptał jej coś do ucha.

Zniknęli mi z oczu.

Ale tutaj nie kończy się mój reportaż.

Stojąc na moście i czekając na „trójkę”, jeszcze raz zobaczyłem mojego bohatera. Był sam. Zobaczył mnie. Widocznie przyglądał mi się zbyt badawczo, bo przeszedł kilka dzielących nas kroków, zatrzymał się tuż przede mną i nagle powiedział przez zaciśnięte zęby:

— No, czego się gapisz żłobie, czego?

Nadjechała „trójka”. Wsiadłem, pojechałem do domu. Mój bohater został na przystanku.

Andrzej BAJKOWSKI

NA TRASIE DO POZNANIA

przeciwko uchylonych drzwi. Wyjął papierosa, zapalił.

Chwilę staliśmy w milczeniu. Potem obaj jednocześnie ruszyliśmy do przedziałów. Ja do swojego, on — do dziewczyny.

Nie zamykałem drzwi za sobą. Zgasilem światło, przysunąłem oczy i zapadłem w drzemkę.

Musiło minąć pół godziny, kiedy usłyszałem głosy dobiegające z korytarza. Spojrzałem. Ładna dziewczyna i mój bohater stali przy oknie.

— No, niechże pani powie, jak pani imię?

— Czy to panu naprawdę potrzebne?

— Proszę...

— Danka. Na mnie wszyscy mówią Danula. Śmieszne, prawda? — pytała ona.

— Śmieszne. To jest — zreflektował się — nie tyle śmieszne, ile zabawne. I miłe. Bardzo miłe...

— Niech pan nie żartuje.

— Wcale nie żartuję. Pani w ogóle jest bardzo miła, pani... Danulo!

— Uważaj, młody człowieku, bruderszaftu mówmy sobie per „ty”.

— No, to na konto przyszłego bruderszaftu mówmy sobie per „ty”.

— Wie pan...

Nie słuchałem dalszego ciągu rozmowy. Młodzi przeszli gdzieś w głąb wagonu, ja znowu drzemałem uspijony jednostajnym stukotem kół.

Zbudził mnie, gdzieś za Wrześnią, konduktor. Był to starszy, sympatyczny „dziadzius”, z typu tych, co to lubią ponarzekać i pogadać z pasażerami przy byle okazji. Nicwielu już dzisiaj takich konduktorów.

— Panie, chwilę wytchnienia mamy — mówił „dziadzius”. — Czasem pociąg napychany tak, że igły nie wsadziysz. Nie tak, żeby jak pan, sam w przedziale, albo ta para o-bok. Kochają się tam, ściskają, ca-

*) „Baśń o Janku i Oleńce” według bajki Andersena „Królowa śniegu” na scenie Teatru Polskiego w wykonaniu zespołu dziecięcego przy Prezydium WRN.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wijają przy tym szabelkami jak nieboszczyk Zagłoba, a dziadki do wszystkiego starszawe, nadające się chyba tylko do Armii Zbawienia...

Są to ludzie mocno zapracowani, biedni i pożałowania godni. Jak gałąź odrąbana od drzewa. Skazani na wymarcie. Najgorsze z tego wszystkiego, że nie widziałam polskiej młodzieży na żadnej imprezie. Obawiam się, że cały polski narybek wynarodowił się. Wszyscy są bez wyjątku zmaturalizowani po amerykańsku. Nasi książęta i grafy są bardzo dumni, patrzą z góry na arystokrację argentyńską (która zresztą ściśle się odizolowała), kręcą nosami, mówiąc, że to przecież jeszcze niedawno byli małpy. Natomiast przed każdym Kowalskim, czy innym jakim „skim” merdają ogonkami, szczególnie, jeśli ów „ski” ma pieniądze, no i szczyt marzeń w Argentynie — samochód. Wartość człowieka jest przeliczona ściśle na pesy.

A jeżeli ktoś tutaj samochodu nie posiada, jest naprawdę biedny. Odległości szalone, w „kolektiwach” i autobusach przez cały dzień tłok i upał taki, że pot zalewa oczy. Słońce nie jest tutaj dobroczynne.

Właściwie jedyna egzotyka w Buenos to „kolektyw”. Są to pojazdy trochę mniejsze od autobusów, a że są „inicjatywą prywatną”, to każdy właściciel maluje je według własnego gustu: na czerwono, zielono, niebiesko, żółto itp., przy czym podobnie jak na cygańskich wozach przeróżne esy, fiole, kwiatki, ptaszki i obowiązkowo czerwone przebite strzały serduszek. Wczorajem wyglądała jak choinkę, bo są oblepione różnokolorowymi żarówkami.

Kiedys, jadąc takim wehikułem, usłyszałem nagle najczystszy polszczyzną: „Jurek! uszczypnij mnie! daj mi w mordę!” i bas Jurka: „Uspokój się, Haneeczka, tu taki zwyczaj!”. Nie wiem tylko jak się czuł ów Jurek po powrocie do domu za ten brak rycerskości i ście angielskiej flegmy. Pleć męska jest tu bardzo zalotna i odważna, bo uszczypnięta niewiasta ma prawo zatrzymać „kolektiw” i przywołać policję. Nie to jednak nie pomaga, kary karami — a zalecanki swoją drogą.

Ruch w mieście piekielny, samochodów przeróżnych typów i modeli, od najpiękniejszych do najbardziej przestarzałych, tyle, że chyba w samym Buenos jest ich więcej niż w całej naszej Polsce. Szybkość jazdy, jeśli nie ma w pobliżu policji, jest dowolna, przy czym każdy pcha się tam, gdzie wolna dziura. Panuje prawo nie tyle silniejszego ile większego pojazdu. Motor nie odgrywa wielkiej roli, najważniejsze, to trochę opatrności boskiej i silne hamulce. Zawsze nie mogę wyjść z podziwu jak z wyczeczki z bratem na miasto wracam cała, bo i mój brat pędzi jak wariat.

A jakie są tutaj piękne kobiety. Przedziwne zgrabne, o pięknych nogach i ślicznych buziach, włosy przeważnie hebanowe; ale są też „rubie”, to jest jasne. Jeszcze bardziej widać ich urodę teraz w lecie. Wyglądają jak różnokolorowe kwiaty. Ślicznie i barwnie ubrane, bo też materiały na sukienki są tak piękne, że trudno oderwać oczy od wystaw. Ale jak się zdarzy baba brzydka, to już jak czarownica, a jeżeli gruba, to ma taką objętość, że można by ją pokazywać w Lunaparku.

Mężczyźni wyglądają jak mopsy. Każdy elegancki Argentyńczyk ma sobie za punkt honoru zaondulować włosy i przyzłazić je brylantyną, przy czym wąski także przyzłazane, przycięte są równiutko nad mordką. Rywa, że w kształcie wykręcanym i wyprasowanym jak z igły zdjęty (nie wąski tylko portki). Wszystko to razem sprawia, że wyglądają jak „szwarzcharaktery” z jakiegoś amerykańskiego filmu. Noszą też dziwne imiona — na przykład nasza służąca ma na imię Jezus (wymawia się Hesus, akcent na u). Są oczywiście katolikami. Do kościoła żadnej kobiety z krótkimi rekawami i bez nakrycia głowy nie wpuszczają, ale za to można w kościele głośno gadać. Bardzo czczą Matkę Boską, a od Pana Boga trzymają się w przyzwolonej odległości. Księżę nie lubią. Wypencetrowałam jednego. Otóż okazuje się, że nie i pozdrawiam wszystkich księża argentyńscy nie chcą iść znanymi

na prowincję daleko w „pampę”, a gnieźdzą się w Buenos i oczywiście zdzierają za każdą usługę, bo muszą przecieżyć z czegoś żyć. Natomiast w „pampie” jest taki brak księży, że małżeństwa siedzą po kilka lat „na wiarę”, bo nie ma im kto ślubu dać.

Pięknym i dziwnym krajem jest Argentyna, o niesłychanych możliwościach. Ma wiele bogactw naturalnych ale nie wykorzystanych należycie. Gospodarka mocno szwankuje, np. mają olbrzymie pola naftowe ale nieczynne, bo nie ma kapitałów (własnych) na rozwój i eksploatację, nie ma dróg, kolei itd. Obcy kapitał nie chce wpuścić. Peron chciał te pola sprzedać na własną rękę, ale biedakowi się nie udało, bo wypędzili go z kraju.

Owoców jest masa i bardzo tanie, w tej chwili jadłam się ananasami. Wszystko tu rośnie, nawet ryż i krzewy herbaciane. Ziemia niesłychanie urodzajna, żniwa są dwa razy do roku, pola uprawne są jednak gdzieś dalej na głębokiej prowincji. W prowincji Buenos Aires, która ma prawie 1/3 obszaru Polski, uprawia się ziemi — mało. Przeważnie łąki a na nich pasące się bydło. Zaledwie słabe.

Mar del Plata cudownie położone i wygląda zupełnie riwierowo. Jest tam podobno największe na świecie kasyno gry, do którego mieszkańcy Buenos jeżdżą ot tak sobie na niedzielę, a że przy tym spieszą się, więc walą na łeb na szyję i dlatego droga, chociaż doskonała, nazywa się „drogą śmierci”. Kasyno istotnie olbrzymie i urządzone bardzo bogato. Mogę się zgodzić, że największe na świecie, ale nie najwytworniejsze, jeśli chodzi o publiczność, tego jestem pewna.

Co niedzielę jeżdżę do Del Viso, 80 km od Buenos. Jeden z naszych przyjaciół ma tam letni domek z parkiem. Śliczne to jak bajka z tysiąca i jednej nocy. Zaobserwowałam tam, że ziemia argentyńska, chociaż taka urodzajna, nie służy wszystkim roślinom. Np. eukaliptus, zasadzony przed 5 laty, wyrósł do trzeciego piętra, a nasz polski dąbek w tym samym czasie posadzony, węgtuje jako mizerny krzak. Lipa też mizerniutka, obawiam się, że się nie rozwinie. Za to co za masa kwiatów i to jakich! Pelargonie — olbrzymie krzewy, tak samo hortensje. Wiele kwiatów i drzew kwitnących tak przepięknie o jakich mi się nigdy nie śniło, za to stosunkowo mało jest palm.

Zawodowo nie pracuję, brat mi nie pozwala, powiada, że dosyć się napracowałam w życiu. A mnie mimo wszystko nie się tutaj nie podoba. Są dnie, że nie mogę słuchać języka „kasteziano” i tak tęsknię za Polską i wszystkim co polskie, że aż odczuwam fizyczny ból. Wcale nie wiedziałam, że jestem taką patriotką. Idę jutro do konsulatu polskiego przedłużyć paszport, bo nie chcę stracić możliwości powrotu do kraju. W żadnym wypadku nie mogłabym być tutaj dłużej, jeśli nie miałabym pewności, że każdej chwili mogę wrócić do domu. Aha! ścigałam włosy i wyglądam jak czupiradło, ale w koku nie mogłam z gorąca wytrzymać. Jeszcze trochę pomieszkam w Argentynie, wrócić może za rok, ale na pewno wróć.

Język „kasteziano” jest bardzo ładny i dźwięczny, już nawet trochę „bałakam”, ale jeszcze mam trudności, bo stosunkowo mało rozmawiam z Argentinami. Jest to właściwie język hiszpański, różnica jest jedynie w wymawianiu, np. „Li” po hiszpańsku wymawia się jak „Li”, a w kasteziano — „zie”; „yo” — po hiszpańsku „jo”, a w kasteziano — „zio” itd. Pisze się jednak wszystko tak samo.

Myślę, że jest to złośliwość napisać tak długi list, szczególnie, że w Polsce jest taka niby — wiosna, nie ma więc strachu, że Pani spoci się czytając. Nie umiem pisać listów krótkich i wszyscy znajomi, do których piszę, muszą cierpieć. Prawie słyszę wykrzyknik Pani przy otworzeniu mego listu: „Adela zwariowała!”.

Catuję Panią bardzo serdecznie. Otóż okazuje się, że nie i pozdrawiam wszystkich księża argentyńscy nie chcą iść znanymi

ADELA.

Kazimierz Kapitańczyk

Szcześliwy prorok ryzykownego proroctwa

„Nowy system filozofii Chemii” — przez Johna Daltona; przedstawiony został w r. 1808. A więc 150 lat temu sformułowana została nowoczesna hipoteza atomowa. Hipoteza to tłumaczenie zjawisk na podstawie aktualnie znanych faktów. Urban powiada, że hipoteza to kula, na której balansuje prawda, albo kolumna, na której wspiera się błąd. Nauka Arystotelesa o czterech żywiołach była też hipotezą. Hipotezy upadają lub awansują na teorię. Hipoteza Arystotelesa nie utrzymała się, hipoteza Daltona okazała się słuszną.

Nasze pokolenie do tego stopnia „przyswyciało się” do atomu, że nie interesuje je już jego genealogia. Jeszcze niekiedy zdobymy się na ukłon pod adresem starożytnych. „Już starożytni Grecy”... już Demokryt.

Upraszczając całą sprawę, można powiedzieć, że Demokryt uczył, iż wszystkie ciała i substancje zbudowane są z atomów, że atomy te są w trwałym ruchu i ich wzajemne wymienianie umożliwia wszelkie przemiany, iż atomy są tak odwieczne jak sama materia — w końcu atomów jest tyle odmian ile jest różnych ciał.

Bądźmy jednak rozważni i nie popadajmy w zbędny entuzjazm i adorację. Hipoteza atomowa Demokryta, jakby nie było, przez 23 wieki nie owocowała. Nie opierała się też na doświadczeniu ani na jakimś konkretnym prawie przyrody. Domniemania Demokryta były niesprecyzowane i wolno przyrównać tę naukę — jakkolwiek porównania szwankują — do Ikarowych lotów.

Teoria Daltona (dziś jest już teorią) natomiast udowodniła, iż przynosi owoc stokratny. Nadto nawiązywała do doświadczenia i można było ją sprawdzić.

Przed wszystkim — wyobraźnia

Dalton jako pierwszy sformułował tzw. prawo stosunków wielokrotnych. Mówi ono, iż jeśli dwa pierwiastki dają więcej aniżeli jedno połączenie, wówczas ilości wagowe jednego z nich mają wartość stałą, a ilości wagowe drugiego, (z nim połączonego) układają się według proporcji liczb niedziurzych i całkowitych.

I tak np. stosunek wagowy wodoru i tlenu, w wodzie (H_2O) układa się według proporcji 1:8, w wodzie utlenionej (H_2O_2) jak 1:16. Tak więc wodoru w obu przypadkach występuje w stałej ilości wagowej, tlen zaś występuje (w wodzie i wodzie utlenionej) w stosunku wagowym jak 8:16 wzgl. 1:2.

Wolno jednak utrzymywać, iż u Daltona twórczą była raczej jego wyobraźnia naukowa. Doświadczenia jego bowiem niezbyt pewną miały metrykę. Analizy Daltona były miernej wartości, a wzory z nich wyprowadzone, obarczone ich błędami. W tych to okolicznościach trzeba odmówić samej koncepcji Daltona charakteru prawa indukcyjnego. Wyniki doświadczeń zostały skorygowane przez uporczywe stosowanie wyrozumowanego prawa. Można by wyrazić się, iż doświadczenie zmuszone niejako do głoszenia innej prawdy aniżeli jego własna. Wszystkie podręczniki cytują stosunki wagowe tlenków azotu, jako model prawa stosunków wielokrotnych — tymczasem w rzeczywistości, historycznie biorąc, pierwotne dane analityczne Daltona okazały się najoczywistej naciągane.

A jednak uogólnienie — niewątpliwie piękne i porywające — było koniec końcem słusne. Słusznie też Urban zauważa, iż Dalton był szczęśliwym prorokiem, ale że jego proroctwo było bardzo ryzykowne, gdyż punkty oparcia doświadczenia były zupełnie niewystarczające. Istotnie — prawo stosunków wielokrotnych zostało a priori założone. Z drugiej strony, nie można nie zauważyć, iż tym samym wyprzedziło ono doświadczenie. Powtarza się tu raz jeszcze niejednokrotnie notowany fakt, że umysł od-

krywcze pracują intuicyjnie, a wiedza konkretna często jakby zmierziała po linii ich rozumowania i przewidywania. I stąd laicy utrzymywać go- towi, że sprawdzane są właściwie koncepcje naukowych wizjonerów. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, gdyż intuicyjne koncepcje bywają



tak liczne, iż ich numery wychodzą w loterii eksperymentu. No i jeszcze jedno: szczęśliwy los w rzeczywistości naukowej oszczędza trudu.

Powrót atomów

Dlatego też koncepcja Daltona w końcu okazała się ideą zwycięską w chemii. Dwie podstawowe myśli wysuwały się na czoło tej konstrukcji myślowej: 1) że związki chemiczne mają prostą budowę, 2) że nowe jednostki powstają z atomów, a nie z cząstek, jednakże składniki pozostają pierwotne. I tutaj trzeba było — dla uzyskania maksymalnej prostoty koncepcji — wprowadzić swoistą „klapę bezpieczeństwa”. Trzeba było wprowadzić z powrotem do chemii atomy, po tylu to a tylu wiekach ich absencji w nauce.

Kuchennymi drzwiami, przez laboratorium, prawie chyłkiem wprowadzono je do inwentarza „filozofii przyrody” — do „nowego systemu filozofii chemii”.

Dalton, aby wytłumaczyć swoje „prawo”, musiał rozważyć hipotezę budowy materii. Były dwie

możliwości rozumowania — albo materia ma budowę ciągłą, albo też nieciągłą, ziarnistą, atomową. Prawo stosunków wielokrotnych uczy o stałych proporcjach wagowych składników związku. Woda dowolnego pochodzenia, naturalnego czy syntetycznego, jest zawsze takiego samego składu. Hipoteza ciągłości budowy jest tu więc zgoda nieprzystatna, skąd bowiem brałaby się stałość składu? Natomiast hipoteza nieciągłości, atomistyczna, tłumaczy wszystko bardzo prosto.

Na dobrym tropie

Wszystkie pierwiastki składają się z niepodzielnych atomów. Atomy określonego pierwiastka byłyby więc sobie równe co do właściwości i co do masy. Toteż łącząc się na cząsteczki związku, atomy „muszą” łączyć się w „stałych” stosunkach wagowych”. Są przecież niepodzielne i określone masy.

Hipoteza atomowa zyskała od razu wielu wyznawców, przynosiła bowiem ulgę. Miała naturalnie także wrogów, i to wcale poważnych. Zanim hipoteza atomowa awansowała do stopnia teorii, minął bez mała wiek. Dziś już jej nie nie zagraża, to raczej atom zagraża ludzkości. Jeszcze w czerwcu r. 1905 pisał znakomity Wilhelm Ostwald w swych „Vorlesungen über Naturphilosophie”: „Prawa stechiometryczne będą trwałe, chociaż atomy od dawna pokrywają kurz bibliotek”.

A w swych „Podstawach chemii ogólnej” (1899 r.) pisał, że jaka jest prawdziwa „istota” materii pozostaje dla nas nie wiadome, jak i obojętne”.

Marian Smoluchowski podkreślił w swoim egzemplarzu Ostwaldowskich „Podstaw chemii ogólnej”, ów wyraz: „obojętne”, a na marginesie umieścił znak zapytania. Genialny Polak nie ugiął się ani przed autorytetem mistrza, ani przed jego pasją antyatomistyczną. Odkrycia Polki Marii Skłodowskiej-Curie ostatecznie udowodniły nie tylko realne istnienie atomu, lecz nadto jego złożoną budowę. Przewidywał to zresztą już przed tym Mendelejew.

Półtora wieku to niewiele, a przy tym tempo rozwoju „filozofii przyrody” jest coraz to zawrotniejsze. Minione 150 lat — od Daltona do reaktorów atomowych — to wielokrotnie więcej aniżeli 23 wieki od Demokryta do Daltona. To rewolucja, w całym tego słowa znaczeniu „nowy system filozofii chemii”.

Zresztą nie tylko chemii — całego przyrodzianstwa!

JUBILATKA

Nie przebrzmiały jeszcze echa zjazdu absolwentów Liceum im. Dąbrowski, niedawno zakończył się zjazd absolwentów ekonomistów, a oto dochodzą nas pogłoski, że o zjeździe myślał również absolwenci najstarszej w Wielkopolsce szkoły średniej — gimnazjum im. Marii Magdaleny.

Może nie wszyscy wiedzą, że poza Poznaniem, Ostrowem i Trzemesznem — czwartym z kolei najstarszym gimnazjum w Wielkopolsce jest gimnazjum w Śremie. Starania ówczesnego społeczeństwa polskiego o tę szkołę trwały wiele lat i odbiły się echem nawet w sejmie pruskim.

Średnia szkoła w Śremie bierze swój początek z tzw. klasy rektorskiej, która istniała w tej miejscowości już od roku 1832. Otwarcie szkoły średniej, zwanej wtedy „Höhere Lehranstalt”, nastąpiło w kwietniu 1858 r. Po trzech latach zrobiono z niej gimnazjum, które w roku 1869 zostało upaństwowione i przeniesione do nowo wybudowanego gmachu (patrz zdjęcie).

Od samego początku istnienia szkoły toczyła się walka o jej polski charakter. Już bowiem od roku 1873 odczuwało się w szkole coraz większy nacisk germanizacyjny. Zupełne wykreślenie z programu nauki języka polskiego nastąpiło w roku 1902. Odtąd nauka języka polskiego schodziła do podziemia. Zaczyna nawet wychodzić tajne piśmiśko „Pierwiosnek”, którego pierwszy numer (w jednym egzemplarzu) ukazał się w r. 1883. W samym roku szkolnym 1887/8 napisano blisko 800 stron! Piśmiśko to ukazywało się jeszcze sporadycznie po drugiej wojnie a na jego kartach ujawniły się niejedne talenty literacko-artystyczne. Warto, aby szkoła nawiązała do tej tradycji, choćby z okazji 100-lecia!

Z walką o polskość, jej kulturę i język związana była również organizacja Towarzystwa Tomasza Zana (TTZ), które jeszcze w okresie międzywojennym przejawiało bardzo ożywioną działalność, oczywiście nie konspiracyjną. W roku 1912, również w tajemnicy przed Niemcami, założono drużynę harcerską, której członkowie brali czynny udział w Powstaniu Wielkopolskim w roku 1918



a w czasie ostatniej okupacji niejedną z nich został wysłany do obozu koncentracyjnego.

Znana była w okresie międzywojennym śremska orkiestra harcerska, założona w roku 1928. Reprezentowała ona polskie harcerstwo w roku 1933 w Gödelis na Węgrzech i grała przed holenderską królową Wilhelminą w roku 1937.

Młodzież śremskiego gimnazjum ma w repertuarze swej pracy kulturalnej tak poważne sztuki, jak: „Mindowe”, „Wesele”, „Ptaki”, „Samuel Zborowski”, „Pan Damaży”, „Pan Jowialski”, „Zemsta” i inne.

Ma więc gimnazjum śremskie swe długie i piękne tradycje. Jego absolwenci rozproszeni są po wszystkich miastach Polski, a nawet za jej granicami. Gdy spotkają się we wrześniu na dwudniowym zjeździe, będą wspominać „dawne, dobre czasy”, kolegów i „belfrów” po nazwisku i przezwisku oraz własną młodzież „durną i chmurną”. Tak już wtedy bywa, że zło się zapomina a resztę wspomina się z łezką w oku. Znika dystans między nauczycielem i uczniem, pozostaje jednak wzajemny szacunek, bo nauczyciel pozostaje dla ucznia zawsze nauczycielem, choć uczeń czasem przetrasta swego mistrza...

Jan HOROWSKI

Nowości
z kraju i ze świata

GRUPA INŻYNIERÓW radzieckich skonstruowała specjalną maszynę do budowy domów. Przy jej pomocy można wzniesie 4-piętrowy dom z cegły w ciągu 50—60 dni.

ZESPÓŁ UCZONYCH w Moskwie pracuje nad aparatem atomowym do leczenia złośliwych nowotworów mózgu — betatronem. Wykorzystanie energii atomowej pozwoli uniknąć skomplikowanych i męczących operacji związanych z trępaniem czaszki. Lancet chirurga zastąpiony zostanie atomem. Przystąpiono już do budowy zakładu leczenia betatronem. Gmach stanie w centrum Leningradu w ogrodzie Instytutu im. prof. Polenowa.

CZY GROZI NAM NOWY POTOP? Uczni, zebrani na międzynarodowej konferencji geodezji i geofizyki w Toronto (Kanada), poświęcili dużo czasu problemom możliwości nowego „Potopu”.

Stwierdzono, że klimat ziemski uzależniony jest od ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Im więcej dwutlenku węgla otacza kulę ziemską, tym cieplej jest na Ziemi, gdyż gaz ten działa jak pierzyna puchowa, zatrzymując ciepło w dolnych warstwach atmosfery.

W epoce węglowej klimat na Ziemi był znacznie cieplejszy niż dziś, gdyż atmosfera ziemską zawierała dużo dwutlenku węgla. Jednak bujna roślinność rozłożyła go i zmagażyła pod powierzchnią Ziemi w charakterze węgla.

Uczni obliczyli, że w ciągu najbliższych stu lat ilość dwutlenku węgla w atmosferze powiększy się o 20proc., co spowoduje znaczne ocieplenie klimatu i stopnienie dużych ilości lodu na biegunach. Uczni przypuszczają, że poziom mórz i oceanów może na skutek tego podnieść się o około 1,5 metra.

NAKLADEM wydawnictwa „Gospolizdat” ukazała się w języku rosyjskim broszura I. Logi-Sowińskiego pt. „Idee zwycięskiego Października na fachu polskiej rewolucyjnej”. Broszurę wydano w nakładzie stu tys. egzemplarzy.

PIERWSZA NA ŚWIECIE elektrownia poruszana przez parę czerpaną spod ziemi (gejzery) powstaje w Nowej Zelandii, w rejonie jeziora Taupo.



U stóp świętej góry Synaj zebrał się pielgrzymi (na zdjęciu nie wiadać). A na górze kapłani — jemenici zgoliwali powitanie dmąc co sił w... baranie rogi (na szczęście nie słysząc).

Fot. — CAF

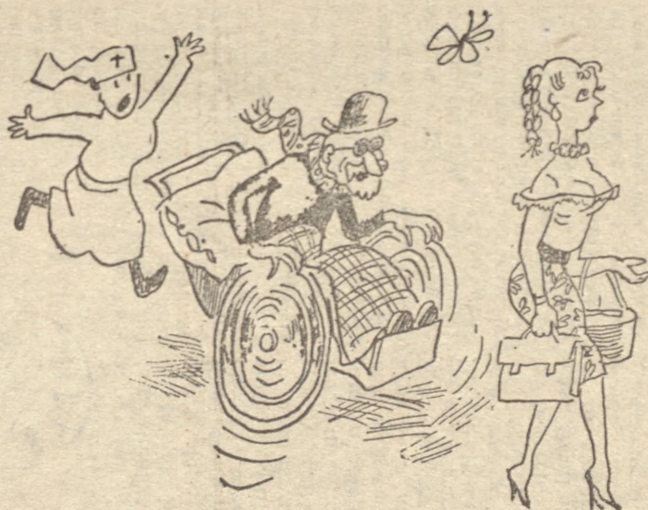
Mówiąca ściana

W Chinach istnieje ciekawy fenomen architektoniczny. Jest nim „mówiąca ściana” w pekińskim „Pałacu Nieba”. Jeśli stanąwszy obok niej mówimy szeptem, o kilkadziesiąt metrów dalej słychać donośnie każde słowo. Ścianę tę zbudowano w 1530 r. Ma ona 6 m wysokości i 200 m długości.

Nie jest to zresztą jedyny tego rodzaju fenomen. W Polsce miejsce takie znajduje się w Kolegiacie Lubelskiej. Zainstalowano tam konfesjonał: szept spowiadających się można słyszeć jako wyraźny głos na podwyższeniu chóru. Za czasów Polski szlacheckiej urządzenie to służyło do podsłuchiwania spowiedzi dygnitarzy państwowych. Sala o specjalnej akustyce znajduje się również w zamku Pieskowa Skala (koło Ojcowa).

Oczywiście w tego rodzaju „mówiących ścianach” nie ma nic tajemniczego ani cudownego. Przy budowie podobnych urządzeń oparto się na zjawiskach akustycznych echa i rezonansu. Odpowiednie nastawienie płaszczyzn odbijających, nadaje w wyniku kierunku i siłę głosowi.

„Mówiące ściany” były więc w dawnych czasach odpowiednikami współczesnych urządzeń mikrofonowo-głośnikowych. (AT)



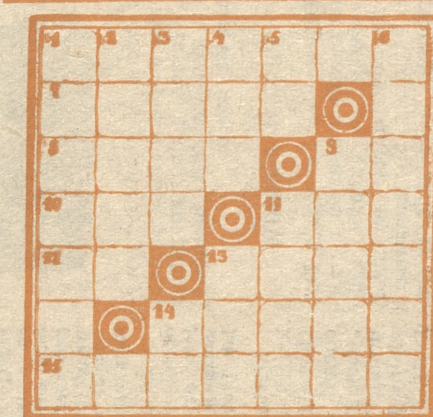
Śmierć czekała w... aptece

W jednej z aptek krakowskich przez pomyłkę wydano niedawno matce chorego dziecka zamiast płynu na apetyt — przegotowane dla dorosłego pacjenta czopki z śmiertelnym narkotykiem. Nazwiska dziecka na receptę, nie udało się odczytać.

Dzięki energicznej akcji znaleziono po upływie 24 godzin adres chorego. Na szczęście matka zadawała narkotyki zewnętrznie (do nosa) — dziecko było uratowane.

Dziesiątki ludzi dobrej woli uczestniczyły w akcji. A przyczyną — pomyłka w aptece i nieczytelny charakter pisma lekarza! (ba)

* KRZYŻÓWKA * KRZYŻÓWKA * KRZYŻÓWKA *



Red. L. Rudkowski

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem: „Nowy Świat”, Poznań, ul. Grunwaldzka 19, najpóźniej do dnia 24 bm. (decyduje data stempla pocztowego). Autorzy bezbłędnych rozwiązań otrzymują nagrody książkowe, przyznane drogą losowania.

Poziomo: 1 — Duży bocian afrykański, 7 — Imię żeńskie, 8 — Ssak z rodziny wiewiórecznych, 9 — symbol chemiczny glinu, 10 — Góra i wulkan na wyspie Mindanao, 11 — Zaimek, 12 — Rosyjskie twierdzenie, 13 — Rów strzelniczy, 14 — Mała wioska, 15 — Miesiąc postu muzułmańskiego.

Pionowo: 1 — Toreador, 2 — Uczta pierwotnych chrześcijan, 3 — Przedpołudnie, 4 — Prosek do prania, 5 — Symbol chemiczny baru, 6 — Ozdobna roślina cebulkowa, 9 — Elektroda dodatnia, 11 — Wyjątkowy, niepospolity, 13 — Owad kąśliwy, 14 — Jednostka oporu elektrycznego.

SŁAWNYCH

Ryszard Wagner zwykł był kopać grób dla siebie. Zdarzyło się, że podczas rozmowy wyzywał nagle towarzyszy, by udali się z nim na miejsce, gdzie spoczywać będzie „wielki Ryszard Wagner”, gdy śmierć po niego przyjdzie.

Rossini znany był z lenistwa. Nie wstawał z łóżka przed godziną dwunastą w południe. Gdy była niepogoda — pozostawał w nim cały dzień. Znaczną część swych kompozycji napisał w łóżku. Raz upuścił świeżo skomponowany duet, a ponieważ był za leniwy, aby podnieść zagubiony skrypt, napisał drugi, dzięki czemu opera „Il Tuero in Italia” ma dwa duety w jednej scenie.

Roberta Schumanna cechowała tzw. bujna fantazja i przesadność.



KOLACZKOWO w powiecie wrzesińskim i drugie w pow. rawickim — od kmiecia Kolaczka; nazwisko (?) to występuje jeszcze w 1413 roku.

KAMIENIEC — dwie są wioski o tej samej nazwie. Jedna w powiecie gnieźnieńskim, druga w pow. kościańskim. Ten ostatni Kamieniec nosi przymiotnik „poznajski”. Zwany już w r. 1233. Nazwa od kamiennego zameczyska w tamtejszym grodzisku.

KAKOLEWO w pow. leszczyńskim. Miejsce urodzenia Augusta Wilkońskiego, autora „Ramot i ramotek”. Tutaj przebiegał front walk powstańców wielkopolskich z wojskami pruskimi w r. 1919. Do tego czasu życie społeczno-kulturalne skupiło się dookoła Ochotniczej Straży Pożarnej. Pałac zabytkowy, przez dwa wieki własność Mielżyńskich.

KASINÓWO w pow. szamotulskim. W r. 1632 zmarł tu dziedzic Dawid Włostowski. Przy tej okazji zaglądajmy do jego księgozbioru.

Jest tu zbiór konstytucji koronnych, „księga zielona” introligowana z różnych autorów”, sygnalne roczniki kościelne Baroniusza, kronika (tj. Relationi universal) Jana Botero, zesztyt po nieboszczyku z notatkami z logiki, kronika Gwagnina, Statua lacińska Pawła Szczerbica, dzieło o celibacie Hożusza. Starczy. Jak na ówczesne czasy — pan na Kasinowie był bardzo oświecony.

KIEKRZ, KIERZNO, KIERZKOWICE — nazwy od kierz, krzak.

KOBYLA GÓRA w pow. ostrzeszowskim w XV wieku nazywała się Górą i miała prawa miejskie. Nazwa? Czy nie od wzgórz piaszczystego, wyglądem swoim przypominającego głowę końską?

Np. nie chciał nigdy w swoich kompozycjach zamieszczać trzykrotnego E, gdyż jego zdaniem przynosiło mu ono nieszczęście. Trafiły go wizje o „białym rumaku, który leci w przepaść”. Przed śmiercią wyznał, że zawsze skaczą mu przed oczyma nuty i ciągle ma wizje. Niejednokrotnie — aby się chronić przed wizjami — usiłował skoczyć w nurty Renu. (rh)

KOMPOZYTORÓW

TURNIEJOWE

Dziś — nieco o niektórych układach naszego Turnieju Parami. Ci, którzy brali w nim udział, domyślają się zapewne, że mowa tutaj przede wszystkim o grach eliminacyjnych. Bowiem ta właśnie część Turnieju obfitowała w nader rzadko spotykane układy.

Dodajmy, że gracze otrzymywali karty już rozdane; wprawdzie sędziowie przysięgali, że układy te powstały bez ich pomocy i raczej w wyniku spieszego tasowania nowych tali; ale wielu graczy słysząc te wyjaśnienia, kiwało sceptycznie głowami. Jak było w istocie — nie wiemy, niechaj pozostanie to słodką tajemnicą sędziowskiego grona. Tak czy owak — układy te przyczyniły się do znacznego ożywienia rozgrywek, i mimo że wielu uczestników uważało, że przy tego rodzaju układach licytacja zależała raczej od nosa niż od umiejętności, to z drugiej strony inni mieli odmienne zdanie. Faktem jest, że także przy tych „rumunowych” układach wyniki licytacji i rozgrywki były rozmaite. A więc wiele zależało od samych graczy.

A oto najgłośniejsze rozdanie nr 20:

♠AD7642
♥: 10-9-8-5-3
♦: 10-9-8-5-3
♣: 10-9-8-5-3
13 KIER

Przy tych stolikach, przy których po odzywie gracza N E od razu deklarował szlema w kier, licytacja wygasła szybko na pasach, E wykladał karty, zapisywał 950 punktów, a potem... dziwił się, że to rozdanie tak niewiele przyniosło dochodu. Bowiem przy innych stolikach gracze E stosowali taktykę o wiele chytrzejszą. Dali odzywkę forsującą, nie zdradzając bynajmniej swego układu, N i S licytowali twardo pozostałe kolory, a E czekał spokojnie, pewni, że gdyby nawet przeciwnicy pasowali, to ich partnerom nie wolno milczeć. Dopiero pod koniec deklarowali niewinnie 7 kier, co na ogół wrogowie kontrowali gromkim głosem. O to tylko chodziło: E rekontrował i zyskiwał średni zapis.

Tylko dwie czy trzy pary z linii NS zdecydowały się bronić szlema w pik. Leżeli wprawdzie bez siedmiu, ale za to w rezultacie uzyskali najwyższy zapis rozdania spośród par tej linii (54 punkty na 56 możliwych). Byli wprawdzie tacy gracze S, którzy deklarowali szlema w bez atu



(szlem jest zrobiony wobec rekonstruacji kier u W), ale sędziowie nie uwzględniali tych kontraktów, jako że zdarzyły się one dopiero wówczas, kiedy układ przewedrował przez większość stolików i stał się zbyt głośny...

A oto drugi, równie złośliwy dla NS układ (nr 18):

♠AK10-9-2
♥: 10-9-8-7-6-5-4-3
♦AK10-9-8-6-4-3
♣: 10-9-7-5
10-9-7-5

Oczywiście — większość pików i wszystkie pozostałe kara posiadał gracz E! Większość par NS deklarowała 6 kara, dostawała kontrę 1 — leżała. Ci, którym udało się leżeć bez dwóch (dzięki wpustce pikowej), zyskiwali zupełnie dobry zapis rozdania: 36 punktów (na 56 możliwych); tam, gdzie przerażony S uciekał w kier, było o wiele gorzej.

„DZIKUSY”

I jeszcze takie rozdanie (nr 3): Jasne, że żaden N nie milczał z taką bombą. I często nie mil-

♠AK-DW
♥KW-9
♦AK-DW
♣AK
986-3
8-7-4-3-2
10-9-7-5

czał, zanim nie wyładował na 6 lub 7. Ale tutaj wszystko zależało od S. Bowiem wystarczy raz spojrzeć na układ, by zrozumieć, że 7 kara jest najzupełniej możliwe. Niestety — tylko jeden z 56 graczy S stanął na wysokości zadania i zgłosił szlema w karo — dzięki czemu para ta zdobyła za rozdanie 56 punktów. Dwie pary grały 6 pik (52 p), kilka innych — 6 karo (49 p), gdzie indziej N wobec milczenia S — ryzykował na własną rękę 6 bez atu...

Takie oto „dzikusy” męczyły uczestników naszego Turnieju. „Gram już dwadzieścia lat w brydża — mówił jeden z graczy — i po raz pierwszy dopiero tutaj zobaczyłem 13 kier na jednym ręku...” (bi)

OFICJALNE WYNIKI TURNIEJU

o Puchar »Nowego Świata«

Wyniki naszego Brydżowego Turnieju Parami, podane we wtorkowym numerze „Głosu”, były nieoficjalne. Po sprawdzeniu obliczeń przez komisję sędziowską okazało się, że w wyniku kilku nieznacznych zresztą błędów oraz uznania wniesionego protestu przez jedną z par — ostateczna tabela przedstawia się następująco (w nawiasach — lokata w eliminacjach):

1. Galica-Labędzki	580 (7)
2. Knapowski-Pilarski	509 (1)
3. Karczmarski-Zalubski	492 (6-7)
4. Czyż-Zrodek	481 (11)
5. Małek-Piotrowski	465 (2)
6. Gogolewski-Rozwadowski	462 (2)
7. Zimowski-Mrocowski	459 (9)
8. Krygowski-Mackowiak	456 (8)
9-10. Wardaszk-Leonhard	454 (5)
9-10. Łuczak-Sobkowiak	454 (11)
11. Labędzki-Malkiewicz	436 (6-7)
12. Sawiński-Wędrychowicz	434 (6)
13-14. Wielgosz-Wielgosz	417 (9)
13-14. Piegłowski-Adamczewski	417 (10)
15. Przysiecki-Foterek	414 (3)
16. Wiśniewski-Toporowicz	411 (1)
17. Kucnerowicz-Wołyński	403 (10)
18. Jeske-Puchalski	395 (4)
19. Jeż-Lapa	387 (8)
20. Widermański-Chadżaj	376 (4)
21. Walczak-Gajdziński	369 (5)
22. Andrzejewski-Płociennik	357 (12)

otrzymają również następujące nagrody rzeczowe:

Knapowski-Pilarski oraz Karczmarski-Zalubski — za zajęcie drugiego i trzeciego miejsca,

Małek-Piotrowski — jako najlepsza para nieorganizowana,

Wielgoszowie — jako najlepsza para mieszaną, Kubiak-Rozwadowska (jedyna para kobieca,

Przy okazji wszystkich amatorów gier turniejowych zawiadamiamy, że wkrótce w Poznaniu rozpoczyna się eliminacje Ogólnopolskiego Turnieju Parami. Zgłoszenia należy kierować na piśmie p. a. inż. Leonard, „Stomil”, Poznań, do wtorku, (22 bm.). Szczegóły w lutymowym numerze „Brydża”.

Tomaszewski-Zgiernicki — najlepsza para spoza Poznania,

Kepel-Gajewski — najmłodsza para turnieju. Wreczenia nagród dokonamy w bieżącym tygodniu. Wszystkie zainteresowane pary otrzymają w tej sprawie imienne zawiadomienia.

Przyjemność

Najbogaciej wytatuowanym człowiekiem na świecie jest jeden z robotników portowych w Santiago. Na ciele jego znajduje się 700 obrazków, do wytatuowania których musiał być kluty ponad 22 miliony razy.

Gaituz

Niebywałą sensację mieszkanki Idaho (USA) wzbudziła pewna dama, która ukazała się na ulicach miasta w sukni uszytej z autentycznego worka do kartofli. Znalazła ona sporo naśladowczyń.



Powód

Japońskie Ministerstwo Nauki wydało zarządzenie, na podstawie którego nauczyciele szkół podstawowych muszą mieć co najmniej 1,52 m. wzrostu, gdyż inaczej nie budzą oni respektu wśród uczniów.

Zemsta

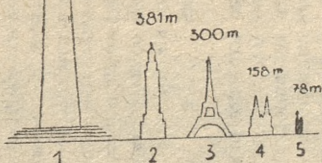
Pracownicy zakładów oczyszczania miasta w Palermo (Włochy) zażądali ostatnio podwyżki płac. W czasie marszu protestacyjnego przez miasto, rozrzucałi oni wszystkie śmieci.

Instrukcje nie będzie

Angielski Związek Dostawców Mleka, nie chcąc narażać się na gniew małżonków, zmienił słowo wstępne w książce p. t.: „Wskazówki dla dostawców mleka”. Z książki usunięto zdanie, które brzmiało: „Niech ta książeczka przyczyni się do dalszego zacieśnienia stosunków między dostawcą mleka a gospodarstwem domowym”. (mz)

1600m

Księżycowy drapacz chmur



Być może już niedługo — za kilka, czy za kilkanaście lat, gazety zamieszczają kolorowe nagłówki i reportaże — jak następuje:

„Zbliżamy się do ogromnego gmachu — masztu. 1.600 m wysokości! Jest to amerykański biurowiec, mieszczący w swoim wnętrzu 130.000 pracowników. Przewóz pracowników odbywa się za pomocą 54 wind, napędzanych energią atomową. Jazda na najwyższe, 528 piętro trwa 1 min.

W cokole budynku (5 pięter nad i 5 pod powierzchnią ziemi) zaparkowano 15.000 samo-

Warto porównać: księżycowy drapacz wyższy jest od liczącego 380 m „Empire State Building” 4,2 raza, 5,3 raza od Wieży Eifla, 20,5 raza od wieży Kościoła Mariackiego”.

Fantazja czy rzeczywistość? I jedno i drugie. Na razie niezwykle projekt najwyższego budynku świata, twór amerykańskiego architekta Lloyda Wright'a. Ale kto wie, czy najbliższe lata nie będą okresem realizacji. Świat idzie naprzód z oszałamiającą prędkością. Projekt jest gotów i gotowa nazwa „Księżycowy drapacz chmur”. (d)

DZIWACTWA

Twórczość i ekscentryczne dziwactwa — oto dwie cechy charakterystyczne wielkich i genialnych kompozytorów.

Beethoven posiadał oryginalny zwyczaj pisania nut na papierze bez linii. Wyglądało to nieczym pieprz rozsypany po papierze. Najczęściej pisał swe kompozycje do rękawy, w małym notesiku lub na luźnych kartkach, spiętych

drutem lub nicią. W Wiedniu często widywano mistrza na ulicy — jak nie oglądając się na tłok przechodniów — szkicował drobne znaki nut, byle tylko utrwalili myśl przewodnią kompozycji. Najchętniej urządzał spacerki podczas ulewnej deszczu; wówczas miał najwspanialsze pomysły. Było rzeczą ogólnie wiadomą, że Beethoven nie mógł częstokroć sam odczytać własnych kompozycji.

Haydn także odznaczał się ekscentrycznością. Cechowało go jednak zamiłowanie do porządku.